

Edward Kasperski (1942–2016). Wspomnienie rocznicowe o Przyjacielu i niepospolitej Przyjaźni

Do rejestru, doprawdy pięknego, dzieł i dokonań Edwarda Kasperskiego – po tym, co o nich już powiedziano i napisano – nie śmiałbym w tej chwili niczego od siebie ani dodawać, ani re/waloryzować, a zwłaszcza polemizować. Aczkolwiek Zmarły zapewne uznałby tę ostatnią formę, to jest polemikę, za najbardziej godny i stosowny sposób uczczenia pamięci o Nim, szczególnie może z okazji Rocznicy, i w tak zacnym, jak to, miejscu – mam na myśli dostojne Muzeum Literatury w Warszawie. Przero ograniczę się raczej do wspomnień o paru mniej chyba znanych, nawet w naszym kręgu, zdarzeniach – niby drobnych, które jednak dzisiaj mogą nabierać, nie tylko dla mnie, jakby większego znaczenia. Zacznę od pewnego „drobiazgu” bardzo osobistego.

Usłyszałem o Edwardzie Kasperskim, jeszcze bez podania imienia i nazwiska, niejako zatem bezimiennym, parę lat wcześniej, nim go poznałem bezpośrednio. Profesor Jan Kott na swoim seminarium magisterskim w roku 1959 opowiadał nam, jaka to przedziwna niespodzianka spotkała go w jego Komisji Rekrutacyjnej podczas wstępnego egzaminu na polonistykę UW. Mianowicie zapytał jednego z kandydatów, pochodzącego „gdzieś ze wsi pod Przemyśłem”, jakież to on zna języki. A gdy ten wymienił ich parę, w tym francuski, profesor z niedowierzaniem – trochę dla żartu, doprawionego sporą dozą złośliwości – zagadnął go po francusku. Na to kandydat, zupełnie nieoczekiwanie dla wszystkich członków Komisji, odpowiedział Profesorowi, mimo olbrzymiego stresu egzaminacyjnego, tak poprawnie, że obaj – wysoki profesor ze stołecznego Uniwersytetu i zahukany prowincjusz, dopiero ubiegający się o zakwalifikowanie na studia – przez kilka następnych minut już rozmawiali ze sobą w elitarnym języku Balzaca i Sartre’a. Z końcowym wynikiem, oczywiście, pomyślnym, choć wtedy egzamin wstępny był konkursowy co się zowie – dostawali się stosunkowo nieliczni.

Wydarzenie w tamtych czasach i okolicznościach zaiste niezwykle, wręcz wyjątkowe, skoro stało się przedmiotem opowieści przewodniczącego Komisji Rekrutacyjnej na seminarium magisterskim. Ale nie tylko. Niemniej ciekawy wydaje się fakt, że to samo zdarzenie zapamiętał na bardzo długie lata ówczesny sekretarz tamtej Komisji Rekrutacyjnej, który opowiedział mi swoją wersję zdarzenia po upływie półwiecza, potwierdzając w pełni nadzwyczajne wrażenie, jakie wywarł nieopierzony siedemnastolatek z prowincji na całej Komisji.

Niewątpliwie dzięki temu właśnie wydarzeniu zdołaliśmy znaleźć się obaj z czasem i odnaleźć w Katedrze Teorii Literatury jeszcze profesora Kazimierza Budzyka. Lecz potem,

podejmując ze sobą bliższą współpracę, w żaden sposób nie mogliśmy powoływać się na jego „mit założycielski”. Dopiero po wielu latach przyjaźni i wspólnych działań twórczych udało się: mnie – zidentyfikować owego „bezimiennego” bohatera opowieści Profesora, a Edwardowi – dowiedzieć się wreszcie, co i jak opowiadał o nim niegdyś Kott licznemu wtedy gronu swoich seminarzystów. Tym samym inicjacyjny „mit założycielski” mógł zostać zrekonstruowany niejako ex post. Nadal niełatwo ustalić rzeczywisty zakres jego funkcjonowania.

Prawdę mówiąc, w moim postrzeganiu Przyjaciela ów „mit” pomógł chyba utrwalić obraz Jego osobowości przede wszystkim jako:

- > niesamowitego pasjonata dociekań intelektualnych i naukowych – o duszy wojownika (czasem używałem przy nim też akceptowanej przez niego nazwy „kozaka”),
- > zapalczego mistrza Dialogu, Dyskusji i Sporu,
- > kapłana Perswazji i orędownika Polemiki, uznawanych przez niego za doniośle, by nie rzec: niezbędne, narzędzia poznawcze.

Cechy te były daleko ważniejsze i użyteczniejsze w naszej współpracy (która zaowocowała między innymi ośmioma pozycjami wydawniczymi pod wspólną redakcją), aniżeli tematyczne kręgi indywidualnych zainteresowań, częściowo podobne i jednocześnie odmienne, częściowo zaś różne, a zarazem oglądające się jakoś na siebie – raz z bliska, to znów z daleka, nawet z bardzo daleka. Dlatego niedawno w jubileuszowej księdze wspomnień *Nasz Uniwersytet* [2016] z okazji 200-lecia UW ośmieliłem się napisać (jeszcze za życia Edwarda):

„Połączyła nas (...) nie tylko problematyka dialogu i lektura Michaiła Bachtina, ale też metoda dialogowej współpracy jako w pełni równorzędnych partnerów, respektujących swoją odrębność i odmiennosc. Dzięki temu dialog podczas wspólnej wędrówki mógł być autentyczny, a Czas Poszukiwań – z takim towarzyszem wyprawy – konstruktywny i twórczy. Wspominam tę wymianę myśli zawsze z satysfakcją, wdzięcznością i szczerym uznaniem”¹.

Warto tu zauważyć, że warunkiem koniecznym, niezbędnym takiej metody współpracy musiały być przecież nie tyle bliskie podobieństwa, ile różnice. Różniliśmy się doprawdy w wielu – by nie powiedzieć: prawie we wszystkich – planach, nawet pod względem wrażliwości, stylu i charakteru. Osobiście preferowałem na przykład poezję wśród innych sztuk i poetykę oraz walory estetyczne, podczas gdy on orientował się, co niejednokrotnie sam przyznawał, w stronę prozy, a zwłaszcza teorii i/lub metodologii, ugruntowanych na logice. Byliśmy podobni niepodobieństwem. Godzi się też podkreślić, iż ten wojownik z ducha potrafił i chciał konfrontować się z różnicami. Konfrontacji takich poszukiwał i do nich dążył. Ufundowane na różnicy konfrontacje były Jego żywiołem.

Nie tylko dla urozmaicenia nakreślonego obrazu pozwolę sobie już na zakończenie przywołać jeszcze krótką relację o pewnym zdarzeniu nad Seretem. Przypomnę, Seret to malowniczy dopływ Dniestru, przepływający przez Tarnopol – miasto, gdzie urodzili się

¹ E. Czaplejewicz, *Czas inspiracji i poszukiwań* [w:] *Nasz Uniwersytet. Wspomnienia pracowników Uniwersytetu Warszawskiego*, Warszawa 2016, s. 85.

między innymi profesorowie znani i cenieni wysoko nie tylko w Kraju: Kazimierz Ajdukiewicz, Kazimierz Michałowski, Ignacy Wieniewski. Będąc w 1994 roku na wykładach w Tarnopolskim Państwowym Instytucie Pedagogicznym (odpowiednik wtedy naszego niegdysiejszego WSP; obecnie już Tarnopolski Narodowy Uniwersytet Pedagogiczny, zresztą jeden z czterech uniwersytetów w mieście), wysłuchałem kilkakrotnie opowieści o profesorze z Warszawy. Gościł tam wcześniej. Orowadzany był pewnej niedzieli (czy soboty) przez parooosobowe grono pracowników tutejszej Uczelni po Tarnopolu. Akurat na deptaku nadrzecznym rzucił się bez chwili wahania i namysłu, by ratować z nurtu rzeki dziecko, które właśnie wpadło do wody. Dzięki temu pośpiechowi dziecko zostało uratowane.

Orowadzający gościa czuli się zbyt elegancko i godnie, by tak szybko ruszyć na ratunek? Wprawdzie oboito się o uszy i tego rodzaju domniemanie, ale daleki byłem i jestem od wszelkich insynuacji. Żadną miarą nie śmiałbym formułować pośpiesznie, czy choćby tylko powtarzać, tak uproszczonych zarzutów. Najczęściej można było za to usłyszeć, że uczestnicy zdarzenia (co sami mocno podkreślali) – kompletnie byli zaskoczeni postępowaniem Edwarda Kasperskiego, który wcale nie zastanowił się ani nad tym, czy rzeka tu dostatecznie bezpieczna, ani nad tym, jak będzie wyglądał na bulwarze w gościnnym Tarnopolu ociekający wodą po wyjściu na brzeg „polski profesor z Warszawy”. Skoczył natychmiast – bez oglądania się na cokolwiek.

Opowieść ostatnia dla niektórych mogłaby zabrzmieć trochę jak paradoksalna historyjka o refleksie i bezrefleksyjności intelektualisty oraz ewidentnych – w pewnych sytuacjach – przewagach pierwszego, to jest refleksu, nad refleksją. Mnie jednak chodzi tu bardziej o sens jakby nieco skromniejszy. Opowiedziane zdarzenie dowodzi istnienia mniej znanego, acz istotnego przecież, oblicza Edwarda Kasperskiego – zmarłego przed rokiem wielkiego i wybitnego Przyjaciela.

8.03.2017